AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL

NA SKRAJU PIEKŁA

OPOWIADANIA I REPORTAŻE Z KRESÓW

FRONDA

NA SKRAJU PIEKŁA

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL

NA SKRAJU PIEKŁA

OPOWIADANIA I REPORTAŻE Z KRESÓW

FRONDA

Okładka
Radosław Krawczyk

Redakcja i korekta
Tomasz Rowiński

Skład i łamanie
Elżbieta Bryś

Copyright © by Agnieszka Lewandowska-Kąkol,
Warszawa 2013

Copyright © by Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2013

ISBN 978-83-62268-95-5

Wydawca
Fronda PL Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 877 37 35
fax 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www,wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

Pamięci Dziadka

Wstęp

Jednego dnia całe ich dotychczasowe życie legło w gruzach. Z łoskotem kolb walących w drzwi runął ich najwspanialszy, jak w życiu każdego człowieka, świat – kraina dzieciństwa i młodości. Przeważnie spokojna, dostatnia egzystencja przemieniła się w próbę przetrwania naznaczoną ustawicznym lękiem, bólem rozstania i głodu, pracą ponad siły przeciętnego człowieka, poniżeniem i wszechobecną śmiercią. Kara bez winy – tak większość z nich odebrała to zrządzenie losu zaistniałe w wyniku działań ludzi dotkniętych obłędem nienawiści. Kiedy zapytałam jedną z bohaterek książki, o co oskarżono jej męża, jakiego przestępstwa się dopuścił skoro otrzymał wyrok piętnastu lat więzienia, odpowiedziała: „Był polskim oficerem, to Sowietom wystarczyło".

Niewyobrażalnie tragiczne wojenne i powojenne losy Polaków mieszkających przed 1939 rokiem na terenach Kresów wschodnich długie lata były, ze względów cenzuralnych, tematem nieobecnym w naszej literaturze, ale i teraz po dwudziestu czterech latach od odzyskania prawdziwej wolności, wydają się dla niektórych środowisk niewygodne. Bez wątpienia to ogromne rozgoryczenie kierowało jedną z moich rozmówczyń, gdy stwierdziła – „Dziś też nie lubi się tych zza Buga…", ale kiedy wejrzy

się w meandry obecnych stosunków polsko-rosyjskich, opinia ta nie robi wrażenia tak odległej od prawdy. Jej zasadność potwierdzają fakty ostatnich lat. Oto na przykład w 2011 roku ukazała się w prasie taka informacja: „Prokuratorzy z Komisji Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku mają trudności z pomocą prawną władz Kazachstanu przy analizowaniu archiwów z dokumentami informującymi o polskich obywatelach zesłanych z rozkazu Stalina w głąb sowieckiego imperium." Enigmatyczne, wzięte z dyplomatycznego języka, stwierdzenie – mają trudności z pomocą prawną – znaczyć może bardzo wiele, więc nie ma sensu snuć niesprawdzalnych domysłów, ale samo sformułowanie tego rodzaju notatki świadczy dobitnie, jak niezwykle mozolne jest nadal dochodzenie do prawdy o zbrodni, którą popełnili Sowieci na narodzie polskim. Zajmują się tym zarówno historycy polscy, jak i rosyjscy, lecz o rzetelności tych ostatnich świadczyć może rozbieżność w ocenie danych podstawowych, a więc liczby Polaków deportowanych w bezkresne przestrzenie ziemi rosyjskiej. Podczas gdy większość badaczy ocenia ją na 1 milion 200 tysięcy, oni skłaniają się zaledwie do 300–400 tysięcy. Już na pierwszy rzut oka wydaje się to mało wiarygodne w zestawieniu z takąż samą liczbą 300–400 tysięcy osób, które na zesłaniu zmarły. Na szczęście bowiem sporej liczbie zesłańców udało się przeżyć, a części nawet wrócić do kraju. Liczba 1 milion 200 tysięcy wydaje się też z konieczności zaniżona, gdyż 30% spośród wywiezionych stanowiły dzieci, z których wiele, tych całko-

wicie osieroconych, trafiła do rosyjskich domów dziecka i została zrusyfikowana. Być może więc do dziś niektórzy z rosyjskich obywateli nie znają swych korzeni i nie mają pojęcia o tym, że ich przodkowie mieszkali nad Wisłą.

Wydaje się, że deportacja była metodą ulubioną przez rosyjski aparat władzy. Rozkoszowano się nią, niczym potęgą Demiurga. Oto na jedno skinienie całe połacie kraju pustoszały, a inne wypełniały się po brzegi ludźmi, tak już znękanymi, że nie byli w stanie czemukolwiek się przeciwstawiać. Pozbawieni przeważnie swych przewodników – ojców rodzin – wegetowali z dnia na dzień, nie mając nawet śmiałości marzyć, że w ich losie może nastąpić jakaś odmiana. Na początku wywożono elitę społeczno-naukowo-kulturalną, ludzi cieszących się w swych środowiskach autorytetem, stojących na czele instytucji, czy stowarzyszeń. Stopniowo poszerzano krąg kwalifikowanych do „przemieszczeń" o rodziny bogatszych rolników i robotników. W poszczególnych transportach, odbywających się zawsze wagonami bydlęcymi, w strasznych warunkach, przewożono od kilkuset do dwóch tysięcy osób, a koszmar podróży trwał od dwóch tygodni, aż do trzech miesięcy. Większość wywożonych trafiała w okolice Archangielska, Irkucka, Kraju Krasnojarskiego i Kazachstanu.

Repartiatio to łaciński termin oznaczający powrót do kraju ojczystego. Z założenia powinien się kojarzyć pozytywnie, wręcz radośnie, bo oto po latach przebywania na obczyźnie, niezależnie od przyczyn i sytuacji, ktoś sam, z własnej woli, powraca w swoje strony. Zupełnie błędnie

przypisano to określenie do przymusowych przesiedleń ludności polskiej ze wschodnich terenów Drugiej Rzeczypospolitej, odebranych nam w wyniku porozumień jałtańskich. Blisko 2 miliony polskich obywateli w latach 1944–47, pozostawiwszy cały dorobek swego życia i niejednokrotnie życia przodków, wsiadało z niedużym tobołkiem do pociągu i jechało w nieznane. Oni nie wracali do ojczyzny, gdyż nigdy jej nie opuścili, to ona, na skutek międzynarodowych matactw odsunęła się od nich, a oni podążali za nią. Nie chcieli mówić innym językiem, posyłać dzieci do niepolskiej szkoły, żyć nawet na ojcowiźnie, ale poza ojczyzną. Przeżyli dramat absolutnie porównywalny z tragedią deportowanych na Syberię, a traktowani często byli jako element obcy, niepotrzebny, czasem nawet wstydliwy, państwa polskiego.

Bohaterowie mojej książki rekrutują się właśnie spośród tych dwóch grup ludzi, których wojna osierociła po wielokroć, którzy za zawirowania historii zapłacili własnym życiem i życiem swoich najbliższych. Niewielu już ich jest wśród nas, choć siermiężna, traumatyczna przeszłość tak zahartowała ich ciała i umysły, że często dożywają sędziwego wieku. Czymże byłaby historia bez świadków, jej protagonistów? Zbiorem dokumentów o nie uwierzytelnionym pochodzeniu i wątpliwej wiarygodności. Silne przekonanie o konieczności szybkiego utrwalania opowieści o wojennych losach mieszkańców Kresów wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej, opowieści snutych przez nich samych, czerpanych więc ze źródła, było głównym bodźcem do rozpoczęcia pracy nad tą książką.

Nie taję, iż dużą rolę w podjęciu tego wyzwania odegrały również względy rodzinne. Emocjonalny stosunek do podjętego tematu sprawił, że książka jest niejednorodna formalnie i stylistycznie. Składają się na nią reportaże, reportaże z elementami wywiadu, opowiadania ściśle oparte na faktach, takie, w których główny temat jest syntezą wielu faktów oraz opowiadania fabularyzowane, których oś zawsze jednak stanowią rzeczywiste wydarzenia z naszej przeszłości. O wyborze formy decydował pierwszy impuls, ogólne wyobrażenie, jak przedstawić koleje konkretnego życia, by mogły zaciekawić czytelnika patrzącego na temat z dystnasem.

Bardzo dziękuję wszystkim rozmówcom za poświęcony mi czas. Zdaję sobie sprawę, że dla wielu powrót do tragicznych wydarzeń, mimo iż miały one miejsce przeszło sześćdziesiąt pięć lat temu, był bolesny i wymagał otwarcia tych zakamarków pamięci, o których najchętniej programowo się zapomina. Myślę jednak, że warto tego typu przeżycia dokumentować, by przyszłe pokolenia mogły uwierzyć w ich realne zaistnienie, co nie rzadko trudno może przyjść człowiekowi z przeciętną wyobraźnią. Życie jest niestety najbardziej oryginalnym i okrutnym scenarzystą, a jego naśladowanie udaje się tylko najwybitniejszym z artystów. Książką tą staram się odwdzięczyć, wiem, że w minimalnym stopniu, za ideowo-materialne dziedzictwo, którym obdarzyli mnie przodkowie.

Samotność gorsza od zesłania

– Chłopcze nie napinaj się bo umrzesz!
Lekarz z lancetem pochyla się nad słabo oświetlonym, drewnianym stołem. Z wyraźnym trudem stara się wcisnąć w brzuch chorego plątaninę jelit. Część z nich (1 m 38 cm) musiał wyciąć ze względu na gangrenę. Nieuśpiony pacjent, skrępowany sznurami, wyje z bólu i napina mięśnie przeszkadzając lekarzowi. Wszystko widzi. Kiszki mają ohydny kolor – opowiada po latach. Co chwila mdleje, ale gdy ból staje się nie do zniesienia, świadomość powraca i znowu się napina.

Po kilku godzinach nocnych zmagań operacja zakończyła się. Teraz trzeba było już tylko czekać. Trudno przewidzieć, czy sparaliżowane jelita zaczną pracować. W tak prymitywnych warunkach pomyślne przeprowadzenie tego typu zabiegu graniczy z cudem.

Profesor Daniłow (z Uniwersytetu Kijowskiego, skazany na dwudziestopięcioletnie zesłanie, cztery miesiące po tej operacji wyszedł na wolność) przyszedł do mnie rano – wspomina pan Michał.

– Jak się czujesz?

– Kiepsko.

– Co byś chciał?

– Jeść.

Hrabia Michał Korwin--Kossakowski na ukochanej Hance. Rok 1934.

Zaraz przyniesiono gorący bulion, a nie zwykłą, obozową zupę. I stał się cud! Jelita zaczęły pracować. Gdy po dwóch tygodniach pan Michał o własnych siłach opuszczał podłużny barak zwany szpitalem, dowiedział się od salowej, że profesor polecił oddawać mu ze swych skromnych racji żywnościowych, całą zupę.

To jedno z najstraszniejszych doświadczeń syberyjskiego zesłania, które do końca życia powracało w snach Michała Krowin-Kossakowskiego. Doskonale pamiętał koszmarny ból żołądka, który zaatakował znienacka, gdy jak zwykle głodny, zjadł pół kilo gliniastego chleba

i szklankę czarnych jagód. Kiedy lekarz obozowy stwierdził skręt jelit, położono go na drewniany wóz gospodarczy, by zawieźć do odległych o dwanaście kilometrów Reszot. Noc, rozszalała się burza, padał gęsty deszcz. Mokry i dodatkowo obolały od podskakiwania na deskach myślał, że tej podróży nie przetrzyma. Modlił się żarliwie, m.in. tymi słowy:

„Cicho zrzec się, ofiarować,
Cicho ból swój w sercu chować,
Cicho jęki w niebo wznosić,
Cicho skrycie łzą się rosić."

To fragment modlitwy, którą dostał pan Michał od Stanisława Platera z Kurtowian, odmawianej przez niego każdego dnia obozowego bytowania. Pan Michał traktował swe obozowe losy, jako ciąg cudów.

Pracował przy wyrębie tajgi. Tylko w zimowe dni, gdy temperatura była niższa, niż –52 stopnie, pozostawali w barakach. Nie cieszyli się z tego, gdyż otrzymywali wtedy zmniejszone racje żywnościowe.

Szósta rano – wymarsz. Po godzinnej drodze, w zimie, po pas w śniegu, siekiery do rąk i intensywna praca, by wyrobić normę. Przeliczało się ją na zupę z obierków ziemniaczanych i czterysta gramów gliniastego chleba. Praca ponad normę dawała chleba więcej, nawet do ośmiuset gramów, jeśli wycięło się sześć kubametrów drewna.

O osiemnastej powrót ze szczapami drewna do ogrzewania baraków. Nosiło się je na plecach. Podczas prac

leśnych pan Michał został uderzony przez potężne gałęzie spadającego drzewa. Widział, że leci, ale śnieg, w którym stał, uniemożliwiał jakikolwiek ruch. Uraz czaszki złagodziła futrzana czapka. Dwa tygodnie leżał w obozowym szpitalu. Na zawsze pozostało 5-centymetrowe wgłębienie.

Pewnego mroźnego popołudnia, pod koniec dwunastogodzinnej pracy, poczuł się tak słaby i zmęczony, że usiadł na chwilę przy ognisku. Zrobiło się mu dobrze i ciepło, przypomniał się dom i fotel przy kominku. Zasypiał, gdy nagle jakiś głos powiedział: „Wstań i idź natychmiast". Wstał z trudem. Ognisko już wygasło i przemarznięty był tak, że jeszcze chwila, a nie podniósłby się już nigdy. Wokół

Rok 1939 – tuż przed wybuchem wojny.

nie było nikogo, kto mógłby go budzić. Brygada dawno poszła do obozu. Wlókł się stawiając niepewne kroki zmarzniętymi stopami. Tuż przed obozem spotkał brygadzistę, który wracał po niego. Według listy nie zgadzała się liczba więźniów, wobec czego całej brygady nie wpuszczono za bramę. Pana Michała ukarano za niesubordynację – przez trzy dni dostawał tylko po trzysta gramów chleba.

Obóz Reszoty 7 liczył około trzy i pół tysiąca mężczyzn. Obok zesłańców politycznych, odsiadywali tam swoje wyroki rosyjscy kryminaliści, zwani *urkami*. Stanowili oni niemałe zagrożenie dla współwięźniów, bowiem nie uznawali większości norm moralno-obyczajowych panujących wśród ludzi „normalnych". Kradli wszystko, co znalazło się

Po powrocie z zesłania.

w zasięgu ich wzroku, dzięki czemu nie cierpieli takiego głodu, jaki był udziałem „politycznych". Codziennie z głodu, różnych chorób i wypadków przy pracy, umierało dwadzieścia kilka osób. Pan Michał, przy wzroście sto osiemdziesiąt centymetrów, ważył pięćdziesiąt kilogramów.

„Kryminalni" byli okrutni i nieobliczalni . Często grywali w karty, choć hazard był w obozie oficjalnie zabroniony. Pewnego razu jeden z nich przegrał wszystko i nie miał za co grać dalej. Zadeklarował więc, że każdy jego palec wart jest tysiąc rubli. W kolejnych rozgrywkach przegrał cztery tysiące rubli. Nazajutrz poszedł więc z siekierą do lasu, położył dłoń na pieńku i odrąbał sobie 4 palce.

Doskonale wiedział, że jeśli tego nie zrobi wyrok wykonają koledzy-dłużnicy.

Prawdopodobnie grał dalej, bowiem niedługo po tym w biały dzień, na oczach zebranych w świetlicy więźniów, został zamordowany nożem.

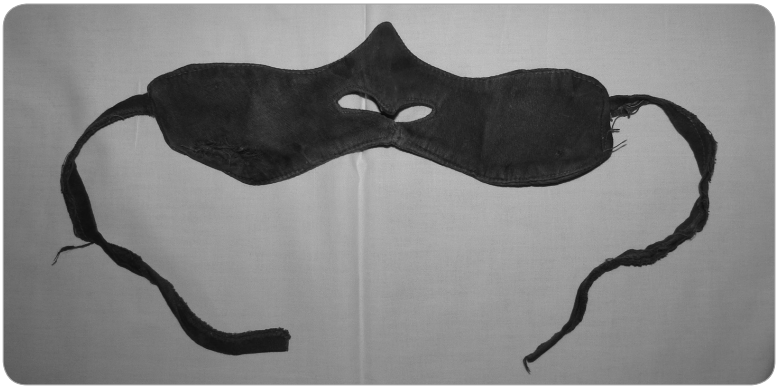

Pamiątka z Syberii – maseczka robiona przez zesłańców, zapobiegająca odmrożeniu policzków.

Ten sam los spotkał jednego ze strażników konwojujących *urków*. Czymś narazić się musiał kryminaliście, bowiem nóż błyskawicznie wyjęty z rękawa, trzykrotnie zagłębił się w jego brzuchu.

O swej przygodzie z *urkami* opowiadał pan Michał, jako o kolejnym cudzie. Po operacji przeniesiono go do lżejszej pracy – był posługaczem w baraku obozowej „arystokracji" – lekarze, fryzjerzy, kucharze, urzędnicy – około czterdziestu osób obsługi. Co jakiś czas otrzymywali oni przydział bielizny. Rotmistrz rosyjski (w obozie buchalter) postanowił swój przydział odsprzedać. Jedynymi nabywcami mogli być *urkowie*, gdyż tylko oni mieli pieniądze.

Wysłał więc pana Michała do, zwykle omijanego ze strachem, baraku. Po targach cena została ustalona. Wieczorem, zgodnie z umową, pan Michał dostarczył bieliznę. Wręczono mu wynegocjowane trzydzieści rubli. Gdy był

Pamiątka z Syberii – portfel zrobiony przez zesłańca.

już w sieni, obezwładniono go i zaczęto przeszukiwać. Na szczęście nie zdążył jeszcze włożyć pieniędzy do kieszeni i trzymał je w zaciśniętej dłoni. Ktoś spłoszył opryszków, nim zdołali je znaleźć. Pan Michał uszedł z życiem i trzydziestoma rublami. Gdyby je stracił, musiałby sprzedać swój przydział chleba, by oddać pieniądze rotmistrzowi.

Niedaleko obozu męskiego znajdował się karny obóz kobiecy, także ze znacznym udziałem rosyjskich kryminalistek. Panowały wśród nich obyczaje *urków*. Nikt nie mógł czuć się tam bezpieczny, szczególnie po tym, jak trzy więźniarki rzuciły się na starego wartownika i obcięły mu penisa, gdyż nie był w stanie zaspokoić ich potrzeb seksualnych. Gwałty na oczach wszystkich nie należały tam do rzadkości i często były prowokowane przez same uwięzione. Swoje żądania artykułowały zawsze bardzo wyraziście. Kiedyś na przykład, nie zgadzając się na przeniesienie części z nich do innego obozu, obsiusiały z górnych *nar* (piętrowe prycze złożone z drewnianych szczebli, na których spali wszyscy więźniowie) naczelnika obozu, który akurat wszedł do baraku. Metoda okazała się skuteczna – o przenosinach nikt już nie wspominał.

Chleb był dla Sybiraków nie tylko głównym tematem rozmów, obiektem marzeń i modlitw, ale także wyznacznikiem podstawowej normy obyczajowej. Kraść można było wszystko, czasem wymagał tego odmawiający posłuszeństwa organizm, prócz chleba. Tej świętości nie wolno było tknąć nikomu. W pamięci pana Michała utkwiła sytuacja, kiedy to jeden z Litwinów po powrocie z pracy, przyniósł do baraku zupę ze stołówki i gdy

zobaczył leżący na półce czyjś chleb, chwycił go szybko i zaczął łapczywie jeść. Karę poniósł na miejscu. Wymierzali ją wszyscy po kolei, także Litwini. Uczucie stałego, obezwładniającego głodu odczuwał każdy i każdy musiał nauczyć się z tym żyć. Nawet generalny prokurator Litwy, którym okazał się nieszczęsny złodziej.

Kolejnemu z cudów pozwoliła zaistnieć trzeźwość umysłu pana Michała. Na początku pobytu w obozie zgłosił się do pracy jako fryzjer. Chętnie go przyjęto, bowiem akurat przyjechały dwa pociągi zesłańców i do ogolenia do skóry było trzy i pół tysiąca głów. Nie robił tego długo, gdyż przybyła na inspekcję komisja skierowała go, jako młodego i zdrowego, do wyrębu tajgi. Ta krótka fryzjerska praktyka miała jednak nieźle zaowocować. Kilka miesięcy później, zjechała do obozu kolejna komisja, by wydać wyroki, na podstawie odpowiednich paragrafów, wyznaczające ilość lat zsyłki.

– Wy Kossakowski, syn hrabiego, nieprawdaż?

– Tak, ale ojciec wygonił mnie z domu, ponieważ nie po jego myśli ożeniłem się. Wtedy zacząłem zarabiać na życie jako fryzjer. Dlatego w obozie też pracowałem na początku w tym zawodzie. Możecie sprawdzić.

Sprawdzanie papierów trwało dłuższą chwilę. Panu Michałowi wydawało się, że minęły godziny. Niemal nie oddychał, śledząc każdy ruch NKWD-zisty.

– No, dobrze. Pięć lat jako element socjalnie niebezpieczny.

Nie wierzył w to, co słyszy. Najniższy wyrok, jaki dotąd wydano to dziesięć lat. Poczuł się prawie szczęśliwy.

10 grudnia 1945 roku ogłoszono amnestię. Objęła ona także pana Michała. Pięcioletnie marzenia spełniły się. Ogromną radość zmącił fakt najtragiczniejszy – jak twierdził – z całego syberyjskiego zesłania. Otrzymał list od żony, z którego wynikało, że mieszka ona z jakimś Rosjaninem i ma z nim dziecko. Teraz, kiedy myślał, iż wreszcie razem wrócą do Polski...

Przed oczami stanęła mu Marychna w niebieskim kostiumie i czerwonej bluzce. Na stacji Nowa-Wilejka, trzeciego dnia od wywiezienia zobaczył ją w zakratowanym okienku pociągu jadącego z przeciwka.

– Miteczku, gdzie jesteś? Babcia umarła w Janowie!

– Maryś, Maryś!!

Nie przypuszczał, że było to ich ostatnie spotkanie. Z rodowego majątku Kiszkieliszki wywieźli ich 14 czerwca 1941 roku. Oprócz jego i żony, dziewięćdziesięcioczteroletnią, nie wstającą z łóżka, babkę żony i jej upośledzonego brata. Jedną noc spędzili razem, w bydlęcym wagonie na stacji w Janowie. Następnego ranka wszystkim mężczyznom kazano przenieść się do innego pociągu.

– Nie wypada, by mężczyźni podróżowali razem z kobietami – stwierdził funkcjonariusz NKWD.

Płakali wszyscy. Pan Michał wyszedł na zewnątrz zostawiając rodzinę i cały dobytek, który udało im się zabrać z domu. Żona potem sprzedawała to, co ocalało i mogła przysyłać do obozu w Reszotach paczki żywnościowe. Przysłała ich aż dwadzieścia trzy.

– Bez nich na pewno bym nie przetrwał – z rozrzewnieniem wspominał pan Michał.

I nie chodziło tylko o wspomagającą obozowe racje, żywność, ale przede wszystkim o świadomość, że jest dla kogo przetrwać, że ona myśli i czeka.

Żonę wywieziono do Ałtajskiego kraju. Ciężko pracowała tam w kołchozie, żeby utrzymać się przy życiu. Pewnego dnia ktoś dopuścił się kradzieży chleba i ją o to oskarżano. W takiej sytuacji obrona jest trudna. Ujął się za nią jeden z NKWD-zistów, odbywający tam swój wyrok. Z wdzięczności, czy z innych powodów, związała się z tym człowiekiem. Gdy zwolniono go, wyjechali razem na Ukrainę.

Podczas pięcioletniego zesłania znosił pan Michał wiele upokorzeń, ale żadne nie załamało go psychicznie tak, jak wiadomość od ukochanej Marychny. Powrót do Polski był tuż, tuż. I choć ojczyzna znaczyła dla niego bardzo wiele, świadomość nagłego osamotnienia, rozłąki na zawsze, spowodowanej zesłańczymi losami, trwale utkwiła w jego psychice.

Wracał sam, nie mogąc sobie wyobrazić, że w wieku trzydziestu lat można życie zaczynać od nowa.